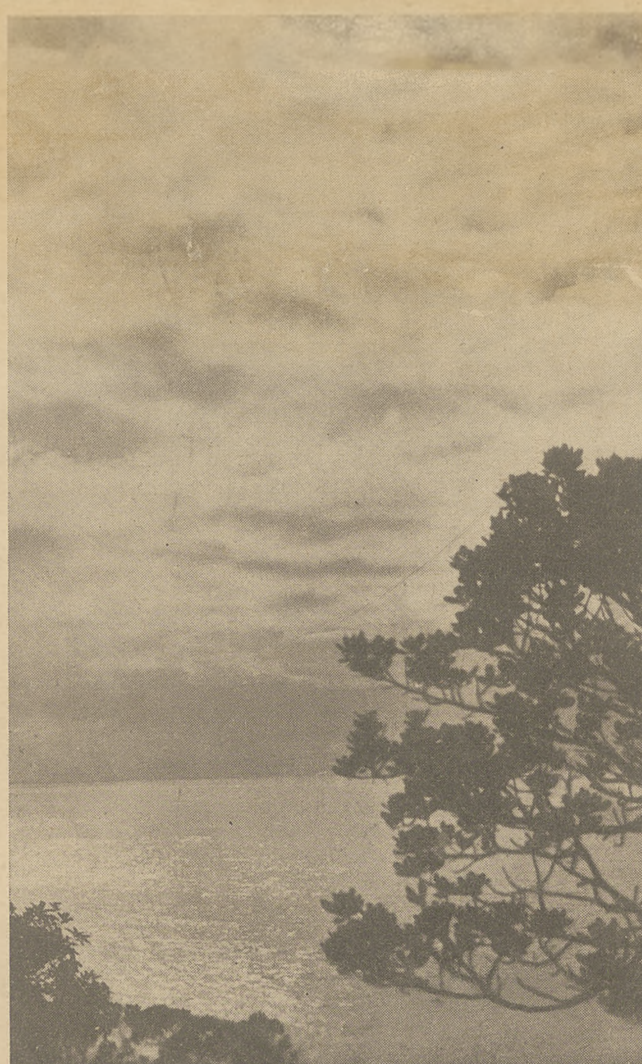
Żeglarz



LIPIEC 1939 SIERPIEŃ



„POLESZUK“ na drugiej półkuli.

Jacht Z.H.P. *„Poleszuk“*, który wyruszył z Gdyni z 3 osobową załogą (dh. Mścisławem Wróblewskim, dh. Fryderykiem Tomczykiem, dh. Ludwikiem Walasikiem) dnia 23 lipca roku ubiegłego, po 11 miesięcznej podróży nadesłał obecnie wiadomości z portu Ciudad Trujillo, *(San Domingo)*, gdzie rzucił kotwicę 30 maja.

Trasa i przebieg ich dotychczasowej podróży są następujące: Gdynia — Gjedsör *(Dania)*, przejście kanału Kilońskiego — Amsterdam — 7 dni), Boulogne — 2 godziny, Cherbourg — 10 dni. W Weymouth — Portsmouth *(Anglia)* stali 1 dzień — poczem z Brestu ruszyli na Atlantyk. *Warunki atmosferyczne:* Gdynia — Cherbourg przeważnie cisza, Cherbourg — Lizbona pogoda zmienna od ciszy do sztormu. W kanale La Manche na trawersie latarni Bill of Portland niebezpieczna ostra fala, utworzona przez sprzeczne prądy, przechyły wzdłuż do 30^0, na kursie 45^0. Przejście Biskai 3 dni — w ostatnim dniu sztorm. Jacht zatrzymuje się w wojennym porcie hiszpańskim El Ferrol dla naprawy. Następnie po jednodniowym postoju w Figuerio do Foz 41 dnia podróży przybywa do Lizbony, zrobiwszy 1700 mil morskich.

320 mil morskich z Lizbony do Casablanki przeszli w 7 dni, w *Marokku*, dzięki życzliwości Nautical Club'u i dość licznej kolonii polskiej, zwiedzają starożytne osiedla arabskie i rzymskie: Meknes, Fez, Rabat, Sale, Marrakesh, Monlay, Idriss.

Z Mogadiru, portu, położonego na skalistym wybrzeżu Marokka, ruszają do Las Palmas na wyspie Gran Canarii archipelagu Kanaryjskiego, gdzie stają 10. X. Spotykają się tu z *„Darem Pomorza“*.

Drogę z Las Palmas do Dakaru, największego portu Zachodniej Afryki, wynoszącą 900 mil morskich, robią w 7 dni. Tu w dokach przy pomocy skautów tutejszych jacht zostaje oczyszczony z wodorostów i poddany remontowi. Robią wycieczki po *Senegalu*, między innymi do Thies, Sangalkani.

W Conakry, odległym od Dakaru o 500 mil. m. — w *Gwinei Francuskiej,* jacht kotwiczy 25. XII.

Stąd robią wycieczki w głąb kraju rzekami do Beuty, Forrecariah, Kindii, gór Kakoulimy, wreszcie ruszają do Freetown w Sierra Leone, kolonii angielskiej, by w Conakry, zabrawszy na pokład resztę załogi, która przybyła z Europy: Juliana Ramotowskiego i Władysława Henocha, w dniu 11 marca ruszyć z Conakry przez Atlantyk.

Dnia 7 kwietnia po 27 dniowej przeprawie (2800 mil morskich) przez Atlantyk jacht rzuca kotwicę w Georgetown — na drugiej półkuli — w Ameryce południowej *Guyana Brytyjska)*. Następnie trasa ich wiedzie przez Indie Zachodnie. — 1. V stają na wyspie *Trynidad* w porcie St. Georg, potem w Port of Spain na wyspie *Grenadzie*, stąd wyruszają na Barbados, wyspę najdalej na zachód wysuniętą w grupie Małych Antyli, w Fort de France na Martynice są od 8 do 23 maja, stąd wreszcie na San Domingo, (Haiti), wyspę Szwoleżerów.

Wszędzie na tamtej półkuli spotyka banderę polską entuzjastyczne przyjęcie. Jacht odwiedzają tysiące osób, zapisują się w księgach pamiątkowych, broszury o Polsce są rozchwytywane. Nim jeszcze jacht dobije do brzegu, zjawiają się motorówkami dziennikarze, robiąc wywiady o Polsce. Prasa we wszystkich językach na *Trinidad, Grenadzie, Barbados, Martynice* umieszcza życzliwe artykuły oraz zdjęcia załogi i jachtu. Na zaproszenie radia w *Martynice* wygłaszają przemówienie po polsku i francusku. — Skauci na *Martynice* obdarzają ich pięknym haftowanym sztandarem skautów, załoga bierze udział w uroczystym święcie ku czci Joanny d'Arc.

Kluby Agnostic Club i Royal Club w *Barbados* czynią ich swymi członkami honorowymi. Patrole skautowe rozstawione na przestrzeni kilkunastu kilometrów wzdłuż wybrzeży żegnają ich okrzykami na cześć *Polski*. Wszędzie organizują im zwiedzanie autami krajów odwiedzanych; zrobili wycieczkę w głąb *Guyany,* gdzie widzieli osady Indian na palach, z domami, plecionymi z włókien palmy kokosowej, na *Trynidad* oglądali słynne jeziora asfaltowe, na *Martynice* w 37 rocznicę wybuchu, który zniszczył wyspę, odbyli wycieczkę do krateru wulkanu Mont Pellé, zaczynającego objawiać żywszą działalność, zachwycali się cudną wyspą *Grenadą*, podziwiali na *San Domingo* niebieskookich Murzynów z nazwiskami Sobieski, Arciszewski itp.

Obecnie po postojach w Hawanie na *Kubie* i w Miami na *Florydzie* płyną ku New York'owi, gdzie pragną stanąć koło 15 lipca.

Braciom harcerzom i wszystkim sympatykom wyprawy, zwłaszcza młodzieży i dzieciom, które pisały do nich za ocean serdeczne listy, ślą gorące podziękowania i pozdrowienia, prosząc o pisanie do nich do New York'u do konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej 149—151 East 67-th Street. *J.*

APEL DO NACZELNICTWA

Harcerskiego z nad jezior Augustowskich. Pod takim tytułem drukuje Kurj. Czerw. — Dobry Wieczór (n. 184 z dn. 6. VII. bm., s. 3) swą korespondencję własną, nadesłaną przez Kor. J. Korespondencja ta zainteresuje wszystkich naszych czytelników i zainteresować winna Naczelnictwo Z. H. P., oraz tych wszystkich, którzy czytając tę notatkę uderzą się w piersi i szepną: mea culpa. Korespondent zwraca uwagę na zupełny brak w obozach sprzętu wodnego i instruktorów.

Czy nie jest to spostrzeżnie trafne? Nasze milutkie lądziarstwo w swym tradycyjnym „suchym“ wyglądzie jest aż nazbyt śmieszne. Ileż to wędrując po Polsce, spotyka się obozów rozbitych nad jeziorami i rzekami — ale pozbawionych zupełnie sprzętu wodniarskiego. Wartoby nie tylko polecić, ale nakazać zaopatrywanie każdego takiego obozu w sprzęt wodny i choćby jednego instruktora.

Nie zaszkodziło by też przydzielenie do obozów, wypraw i ośrodków żeglarskich instruktorów wysokiej klasy, którzy by omówili wiele zagadnień ogólno-związkowych, i przedyskutowany materiał przedstawili jakiejś specjalnej komisji do przestudiowania.

Harcerstwo czeka jeszcze wiele przemian. Chcielibyśmy jednak, by było ono na nie przygotowane. Problem starszoharcerstwa jest tego poglądu jaskrawym potwierdzeniem.

Wszyscy kierownicy pracy żeglarskiej winni się w tej sprawie wypowiedzieć. *T.*

W OSTATNIO NADESŁANYM do K.H.D.ż. n. 2936 z dn. 1/VII b.m. „Le Jacht“ w kronice z Algieru znajdujemy krótką rzeczową kronikę o „Zjawie III“ Władysława Wagnera (s. 376). W tymże numerze (s. 372) natrafiamy na notatkę (Passage du navire-école polonais „Iskra“) o podróży ćwiczebnej polskiej „Iskry“.

(c. d. na s. 150)

Do numeru załączamy blankiet przekazu rozrachunkowego z prośbą o wpłacenie prenumeraty na 2-gie półrocze.

V ROK
NR 7-8
1939

Żeglarz

ROK V
7-8 NR
1939

PRZEMÓWIENIE

Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Prof. Ignacego Mościckiego

z okazji „DNI MORZA"

W tradycyjnych dorocznych „DNIACH MORZA" skupiają się myśli i uczucia całe Polski na brzegu morskim na odcinku naszej granicy najkrótszym — a jakże doniosłym, gdyż przechodzi przezeń przeszło trzy czwarte naszej zagranicznej wymiany. Dlatego to porty gdyński i gdański mają tak wyjątkowo wielkie znaczenie dla naszego gospodarstwa narodowego, dlatego Gdynia otoczona jest miłością i troską całego narodu, dlatego Wolne Miasto Gdańsk, tak jak przez wieki, związane jest z nami licznymi więzami. Obydwa te porty są otwartymi bramami wyjścia na świat dla obywateli Rzeczypospolitej i owoców ich pracy — stanowiąc również wolne, bezpośrednie dostępy do Polski dla bander wszystkich narodów — dla statków wszystkich państw morskich, które zwożą do nas swoje surowce i wyroby.

Gdy dzisiaj w dzień świętych apostołów Piotra i Pawła, patronów rybaków, myśl nasza biegnie wzdłuż Wisły, królowej polskich rzek, do Gdańska i Gdyni, do portów i wsi rybackich, do tych, którzy pracują na wybrzeżu i morzu i do tych, którzy pełnią na nim zaszczytną straż — a więc naszej marynarki wojennej — to jest to tylko odświętny, radosny wyraz stałej, codziennej, nierozerwalnej łączności wszystkich Polaków z ziemią Pomorską. Bo choć każdy zagon ziemi polskiej jednakowo jest nam drogi i bliski, jednako składa się na wielką całość naszej Ojczyzny, ale ziemia pomorska i brzeg nadmorski — fundamenty naszej niezależności gospodarczej i politycznej — są wartościami bez ceny, są powietrzem i słońcem naszego życia państwowego Świadomość tej wartości żyje dzisiaj w sercach i umysłach wszystkich Polaków, a im większe napotykamy przeciwności — im bardziej nieprzyjazne są okoliczności zewnętrzne, tym niezłomniej ujawnia się nasza wola i gotowość ponoszenia największych ofiar, poto, by powrót Państwa Polskiego nad morze wykorzystywać i utrwalać po wsze czasy.

Powróciliśmy nad Bałtyk jako państwo, bo ostaliśmy się nad nim nieprzerwanie jako naród, stąd w dniach radosnych, poświęconych morzu, myśl nasza biegnie i ku przeszłości, składając hołd pamięci tych pokoleń, które okres niewoli nieugięcie nad Bałtykiem przetrwały. Powracając nad morze państwo nasze niosło pokój i dobrodziejstwa twórczej pracy, którą ożyło całe polskie wybrzeże. Dzisiejsze pokolenie nie zmarnowało lat, które są już poza nami, odrobiło i w tej dziedzinie wiele zaległości i zaniedbań, wygrało niejedną bitwę w wyścigu pracy, nakazanym nam przez Józefa Piłsudskiego. Tej pracy pokojowej chcemy i nadal poświęcać się dla dobra Rzeczypospolitej, na pożytek własny i innych narodów, z którymi pragniemy coraz to szerzej rozwijać nasze stosunki gospodarcze i kulturalne.

Żyjemy jednak w czasach, gdy świat powrócił do wyścigu zbrojeń, gdy zwłaszcza nad morzami zarysowują się niebezpieczeństwa konfliktów. Pragnieniem naszym jest utrzymanie i utrwalenie pokoju nad bałtykiem ale spada stąd też na nas i obowiązek powiększenia polskiej siły zbrojnej na morzu. „DNI MORZA" są dniami poświęconymi polskiej marynarce wojennej. Powszechna zbiórka na FUNDUSZ OBRONY MORSKIEJ, organizowana przez Ligę Morską i Kolonialną, która przyniosła już realne wyniki w postaci okrętu podwodnego „Orzeł" jest zarazem najlepszym sposobem popularyzacji naszych potrzeb w dziedzinie obrony morskiej — i najcelowszym wyrazem uczuć społeczeństwa dla naszej marynarki wojennej. Silni na lądzie i w powintrzu pragniemy stać się silnymi i na morzu, by zapewnić nieprzerwany rozwój naszej pracy morskiej, by w pełni móc rozwinąć morskie powołania Narodu Polskiego.

NASZ DRUH GENERAŁ

MARIUSZ ZARUSKI



Żegluga na jachcie „Witeź"

O białoskrzydły, leć w bezkresy,
Z albatrosami wicher goń!
Tam, gdzie harcują wodne biesy
I huczy gromem morska toń.

Do kraju pięknej Doloresy,
Czy tam, gdzie w lodach ziemi skroń,
Czy tam, gdzie kwitną aloesy
I z mangustanów spływa woń...

Niedościgniony, lekki, lotny
Posród kłębiących się straszydeł
Nieś mię „Witeziu", w bajki świat...

Niechaj mnie uśpi pęd zawrotny
Twoich potężnych białych skrzydeł
I zniknie pamięć burz i lat!

Generał Mariusz Zaruski, kpt. „Zawiszy Czarnego", którego imieniem zostanie nazwany nowy jacht L. M. i K., budowany na wzór szwedzkiego jachtu „Kaparen", obchodzi obecnie 15-to lecie swej pracy na morzu.

Żeglarz, chcąc jaknajuroczyściej uczcić ten jubileusz, jeden z najbliższych numerów poświęci Jemu, Pierwszemu Żeglarzowi Rzeczypospolitej.

STANISŁAW LUDWIG

REJS WŁADYSŁAWA WAGNERA

V. Przez m. Śródziemne.

Otrzymawszy nowy maszt, „Zjawa III" w dn. 13 maja opuściła gościnny Egipt, kierując się na zachód. 30 maja osiągnięto Maltę, na której zatrzymano się na 4-dniowy pobyt.

„.....z Malty wyjechaliśmy tuż po 2-dniowym sztormie; przy ciszach i powiewach dowlekliśmy się w dn. 12. VI. na odległość 170 mil od Algieru. Barometr zaczął spadać i następnego dnia mieliśmy niepogodę z W, chmury, szkwały, deszcze i wiatr, dochodzący do siły 9, kiedy to zaczyna porywać grzebienie fal, i niesie je przemoczonemu żeglarzowi w oczy, lub rzuca na żagle, jeżeli jeszcze jacht ma je na masztach. Dn. 13. VI. w południe wiatr skręcił na WNW, a nawet na NW tW, tak że wykorzystawszy to „szczęście w nieszczęściu" o godz. 20-tej byliśmy o 48 mil. bliżej celu. Wiatr jednak ma fantazję nielada. Dnia następnego przestał wiać i olbrzymia martwa fala z NtW poczęła dryfować nas na przylądek Carbon. W nocy nadszedł jednak O, który wzmocnił się do siły 3—4. 16-tego czerwca rano byliśmy już w Algierze...."

W porcie, jak to w porcie: wizyta w konsulacie, odebranie korespondencji, tłum reporterów, wywiady, opowiadania, zdjęcia. Potem przyjęcie u miejscowej Polonii, wizyty, rewizyty, zwiedzanie miasta, kontakt ze skautami. Dwa momenty zasługują na podkreślenie. Wagner oddał jacht do dyspozycji Domu Polskiego, pragnąc dopomóc finansowo tej instytucji, posiadającej znikome fundusze. Urządzona została na „Zjawie III" płatna wycieczka, z której dochód zasilił kasę Domu Polskiego. Odbyła się też herbatka przy udziale mieszkających w Algierze Polaków i zaproszonych Francuzów, podczas której Wagner wyświetlił 3 filmy nakręcone przez siebie. Wreszcie 20 czerwca Wagner opuścił Algier. Morze powitało jacht sztormem, podczas którego rozdarł się grot. Wiatry były przeciwne, fala ogromna. Sztormowy WSW zapędził jacht daleko na północ pod brzegi Hiszpanii. Po 6 latach Wagner poraz pierwszy ujrzał ląd europejski.

Potem znów się wypogodziło. Dzień za dniem zbliżał „Zjawę" do Gibraltaru.

Oto urywek listu Wagnera, pisanego podczas wachty, gdy statek płynął samosterownie.

„....przez ostatnie dni bóg wiatru spał. Oddychał jeno wolno i miarowo, jak zadowolony z siebie człowiek w błogim śnie. Gdy wciągał w siebie powietrze, cisza była, morze wygładzało się, szklące jak lustro. Gdy wypuszczał je z otchłani — leciutki powiew marszczył powierzchnię wody... nie całą jednak, a pasami — w miarę jego oddychania. Wieczorami aż do północy oddalał się z tej części ziemi, zapadała mgła i parowce strasznie wyły. Te nie dbają o jego względy. Dziś w południe obudził się widocznie. Musi być daleko od nas na wschód, bo oddech jego, choć żywotny, dochodzi tu słabo. Posuwamy się naprzód, chwaląc go, głaszcząc jego pychę. Złość na starego kapryśnika chytrze chowamy w głębi duszy. Zjawa III jest żaglowcem...."

Gdy odpadała troska o całość jachtu w czasie sztormu, w takich chwilach odpoczynku napływały inne myśli, że trzeba pomalować kadłub, że żagle zniszczone, że brak pieniędzy w kasie, że mało czasu zostało, żeby zdążyć do Edynburga.... Na „Zjawie III" nie brakowało nigdy zmartwień. Ale gwizdać na kłopoty, gdy jacht pochyli się pod żywszym powiewem, woda szemrze, ocierając się o burty, a naokoło morze.

Morze potrafiło dać satysfakcję i w innej formie. Nadpływające statki francuskie, angielskie a nawet włoskie na widok małego, dzielnego jachtu pod polską banderą, podpływały bliżej, salutowały, załogi machały życzliwie czapkami, życząc pomyślnych wiatrów.

Miłe są takie owacje na pełnym morzu.

Wreszcie... Gibraltar.

Gibraltar, 3. VII. 39.

„...Przybyliśmy wczoraj, odpływamy dzisiaj do Southampton. Skauci (uprzedzeni przez centralę w Londynie), marynarka, wojsko, ludność cywilna przyjęli nas nadzwyczajnie. Komendant miejscowych skautów nie odstępował nawet na krok. Mieli przygotowane bale i przyjęcia dla nas, ale niestety musimy odpłynąć. Z Southampton napiszę dokładniej...."

Kończąc cykl tych wiadomości o podróży druha Wagnera Redakcja „Żeglarza" składa podziękowanie hm. H. Kapiszewskiemu, kierownikowi Wydz. Zagr. G.K.H., dzięki uprzejmości którego zamieszczane były urywki z listów Wł. Wagnera.

Redakcja „Żeglarza" wyraża nadzieję, że we wrześniowym numerze Druh Wagner osobiście podzieli się swymi wrażeniami z rejsu naokoło świata i ostatniego etapu Gibraltar — Southampton — Gdynia.

POLAKOM WOLNO LĄDOWAĆ!

W r. ub. ukazał się w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym" artykuł p.t. „Polakom lądować nie dozwolono". Artykuł ten pisał Polak, który przeżył następujące zdarzenie. Płynąc z Polski do Panamy, podczas postoju statku w porcie kolumbijskim Puerto Colombia spotkał się z zakazem wyjścia na ląd, chociaż inni współtowarzysze podróży nie mieli z tym żadnych trudności. Dzięki energicznej interwencji w kapitanacie portu uzyskał przepustkę. Co było powodem tego niezwykłego zakazu? Oto władze portowe zasłaniały się przepisami Kolumbii, zabraniającymi wypuszczania na ląd murzynów, syryjczyków, cyganów i ...Polaków.

Przepis ten nie musiał być poważnie brany, bo autor artykułu na ląd zeszedł, a w innych portach tejże Kolumbii nikt mu żadnych trudności wogóle nie robił.

Przy bliższym zbadaniu sprawy okazało się, że przepisy podobne istnieją także w Wenezueli oraz na wyspie Barbados.

W pierwszej chwili po przeczytaniu wspomnianego artykułu obudziło się uczucie upokorzenia, że nas w jakimś kraju tak podejrzliwie traktują, że nawet podczas postoju statku na parę godzin nie chcą wypuścić na ląd.

Przy bliższym zastanowieniu ten pierwszy odruch wydał się niesłuszny. Raczej sprawa polega na nieporozumieniu i przestarzałych przepisach. Może akurat brak podpisu Polski na jakichś dawnych konwencjach i stąd ten dziwoląg.

W każdym razie sprawa wymagała wyjaśnienia i sprawdzenia. Gdyby zaś okazało się, że rzeczywiście obywatele Polscy stawiani są na równi z jakimiś uciążliwymi cudzoziemcami bez bliżej określonej przynależności państwowej — należało domagać się od MSZ, żeby odpowiednio zainterweniowało.

Dla wyjaśnienia tej kwestii odwiedził „Poleszuk" w czasie rejsu z Ameryki Pd. do Am. Północnej wyspę Barbados.

Zapewne cumowano z pewną obawą. A nuż na widok bandery polskiej z kapitanatu portu wyskoczy groźny urzędnik na czele policjantów i każe wypływać z powrotem na morze.

Obawy okazały się płonne.

Władze, prasa, skauci, jachtsmeni, całe miasto — witali załogę polskiego jachtu z wielką życzliwością. Objawy życzliwości były aż krępujące. Kapitan portu kazał przesunąć się jakiemuś statkowi w inne miejsce, aby uwolnić nabrzeże, najdogodniejsze dla „Poleszuka". Dzienniki rozpisały się o wyprawie obszernie i serdecznie. Mieszkańcy Britgetowu (główny port na Barbados) w liczbie około 500 odwiedzili jacht podczas postoju. Oba miejscowe jachtkluby Royal Barbados Yacht Club i The Barbados Agnatio Club zaprosiły kapitana jachtu na członka honorowego a załodze na czas postoju przyznały prawa członków i możność korzystania z klubów.

Zdarzały się też wypadki, że nieznajome osoby, zauważywszy na ulicy członków załogi „Poleszuka", przedstawiały się i zapraszały do prywatnych domów.

Atmosfera, jaka otoczyła 5 Polaków na tej odległej i egzotycznej wyspie Barbados — zupełnie przeczyła istniejącym tam przepisom, w myśl których „Polakom lądować nie wolno".

Otóż okazało się, że wolno. Zapytany kapitan portu wogóle nie słyszał o podobnym zakazie. Według nowych obowiązujących przepisów żadnych ograniczeń tego rodzaju dla Polaków nie ma. Czy dawne przepisy przewidywały takie ograniczenia, nie wie, bo wogóle o nich zapomniano.

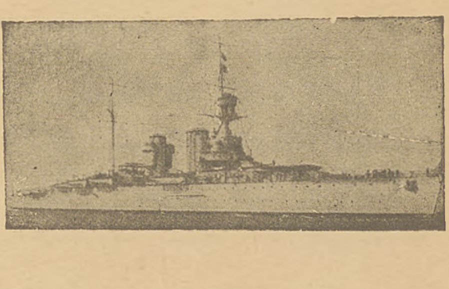
A więc o żadnej tendencji do umniejszenia imienia Polski w ustawodawstwie miejscowym nie ma.

Tymniemniej prospekt Linii okrętowej holenderskiej Royal Netherland Steamship Co podaje, że na Barbados murzynom, cyganom i ...Polakom lądować nie wolno. I czyta to wielu turystów, którzy z politowaniem myślą o tych upośledzonych Polakach, którym nawet na parę godzin nie wolno wyjść na ląd.

Komu więc zależy na podawaniu w prospekcie nieprawdy, umniejszającej imieniu Polski? Po wyjaśnieniu, jakie nadeszło z „Poleszuka" sprawa nabiera zupełnie innego posmaku. Nie ma mowy o uczuciu upokorzenia. Przeciwnie — jest ktoś, komu zależy na szkodzeniu nam, a więc widocznie obawia się Polski. Narzędziem stał się prospekt linii okrętowej holenderskiej.

Nikczemna to metoda walki z ukrycia. — Ale nasi wrogowie nie przebierają w środkach. Świadomy fałsz wysuwa się na pierwsze miejsce, jako metoda tej walki. Nikt w ten sposób jednak nie wygrał i nie wygra.

L.



MŚCISŁAW WRÓBLEWSKI, kpt. jachtu.

DOOKOŁA ŚWIATA NA JACHCIE „POLESZUK"

IV. Przez Atlantyk.



„Poleszuk" na tle wgórz w „Martyniki"

Conakry! Ostatnie wizyty pożegnalne, ostatnie formalności, zaopatrzenie się w żywność i słodką wodę.

Kapitan portu, jowialny grubas, z którym się zaprzyjaźniliśmy w czasie długiego postoju w Conakry, klepie nas śmiejąc się po plecach i życzy dobrego wiatru. Gdy podajemy jako port przeznaczenia Georgetown w Ameryce Pd., poważnieje, zamyśla się na chwilę i na świadectwie zdrowia, jakie mamy otrzymać, wypisuje: „Jacht „Poleszuk" wyszedł na morze dnia 11 marca" — nie wymieniając wcale Georgetown. Tłumaczy poważnie: „Bo widzicie nigdy niewiadomo, gdzie zajedziecie na takim małym jachcie". Poważniejemy i my, mocny uścisk dłoni i... uśmiech znowu zjawia się na twarzach: wszystko musi być dobrze!

„Do zobaczenia!" — woła za nami sympatyczny grubas, kiwając z werandy ręką. „Do zobaczenia w niebie!" odkrzykujemy już zdala!

Tak zaczęło się nasze najpoważniejsze dotychczas przedsięwzięcie żeglarskie.

Wyjeżdżamy nocą; mijamy w księżycowym świetle zatopione sylwety wysp de Los, rzuconych w morze przed Conakry.

Zrana widnieją one za nami już tylko jako nikły, ledwie widoczny, niebieskawy cień.

Przed nami rozciąga się ocean, 2700 mil pustyni wodnej, gdzieś tam daleko po drugiej stronie nieznana egzotyczna Ameryka, której brzegi ujrzymy mniejwięcej za miesiąc.

Pierwsze dni w morzu są b. przyjemne, odpychamy poprostu po gorączkowym, nerwowym życiu na lądzie.

Porządkujemy zwolna wnętrze jachtu, ustawiamy paczki z winem, beczki z sucharami, konserwami, owocami, tak, by można się było między tym wszystkim swobodnie poruszać.

Porządkujemy notatki i wrażenia z Afryki. Skupiamy się i zwolna wchodzimy w powolny, równy tryb życia statku idącego dalekim rejsem.

Nie odczuwamy szczególnego napięcia — morze jest w tych okolicach zwykle spokojne — wieją tu równe, dość mocne, doskonałe dla żeglugi passaty.

Barometr waha się w bardzo małych granicach. Nie odczuwa się tu tego napięcia, co na północnych morzach, gdzie lada moment można być zaskoczonym przez niebezpieczny szkwał, gdzie w godzinę morze potrafi zmienić się do niepoznania — z gładkiej, równej powierzchni stając się złym kotłowiskiem z lecącą w powietrzu śnieżno białą pianą.

A więc od tej strony jesteśmy bezpieczni. Ten groźny wróg drzemie tu pod upalnym tropikalnym słońcem, nie wybuchając prawie nigdy gniewem.

Najważniejsza rzecz teraz to odpowiednio zorganizować sobie życie. Bodźców z zewnątrz będziemy mieli teraz niewiele i morze jest przecież tak monotonne!

Naczytaliśmy się tyle o wiecznej ruchliwości, zmienności morza! Ocean nigdy nie jest ten sam, lecz wiecznie żywy, wciąż zmieniający swe oblicze w przeciwieństwie do nieruchomej ziemi.

Ocean jest w wiecznym ruchu, to prawda, lecz jakże monotonny jest ten ruch: fala goni za falą, grzywacz huczy za grzywaczem jeden, drugi, setny... tysiączny, wiecznie takie same, bliźniaczo podobne do siebie.

I dlatego coraz mniej zwracamy na morze uwagi, coraz wyłączniej pagrążamy się w tym małym samodzielnym światku, jakim jest nasz jacht.

Ocean narzuca nam się wprawdzie sam co chwila, nawet wtedy, gdy wypoczywamy po wachcie na koi, nawet wtedy, gdy piszemy, czy czytamy w kabinie.

Łagodny, cichy plusk fali o burtę sygnalizuje nam spokój tam w górze, ostra chwiejba i twardy, nagły trzask, wstrząsający całym jachtem jak tęgie uderzenie pięścią, budzi nas na chwilę z myślą: „Oho, robi się trochę niespokojnie!"

I wiatr: ten czasem wydobywa z olinowania smętne, przeciągłe, denerwujące melodie, czasem zacicha i wtedy rozlega się szarpiący łopot żagli, gwałtowne uderzenia drzewa, trzask bloczków i drżenie kadłuba od nagłych, nieoczekiwanych wstrząsów. Czasem zabębni po nadbudówkach gwałtowny tropikalny deszcz i na głowę polecą pojedyńcze krople przez szpary w skajlajcie. Ale to są wrażenia odległe: z innego świata, z którym stykamy się w czasie wacht. Po wachtach można powiedzieć, że odwracamy się tyłem do oceanu, fal, zmian pogody, a zagłębiamy w sprawach jachtu, życia na nim, porządków, prac. Tu trzeba coś podmalować, tam zmienić przetartą linę, naprawić pompę, zreperować prymus, który się nie chce palić. Poza tym wykonujemy prace według z góry ułożonego planu: malujemy nadbudówki, reperujemy mocno nadgryzionego bączka, szyjemy pokrowce na skajlajty, splatamy obijacze — zwykłe prace marynarskie na statku w dalekim rejsie.

Sprawy jedzenia stają się teraz bardzo aktualne: jest dużo czasu na porządne gotowanie i służbowego męczą wszyscy najróżnorodniejszymi kulinarnymi życzeniami.

Jeden chciałby zjeść to, inny owo, jeden przepada za słonymi potrawami, inny mocniejszego solenia nie znosi.

Drobiazgi nabierają decydującego znaczenia wobec braku kwestyj poważniejszych. Małe sprawy małego światka, o których zapomni się, gdy wylądujemy gdzieś tam w Ameryce i zostaniemy porwani w wir zdarzeń, ludzi, stosunków.

Jedynie wachty z konieczności stawiają nas twarzą w twarz z oceanem. Samotne sam na sam: On — i ja.

Często i wtedy nie zwraca się uwagi na otoczenie: mechaniczne sterowanie i pogrążanie we własnych myślach.

Czasem jednak rozglądam się wokół siebie. Największą rozmaitość przedstawiają — obłoki.

Raz są one niby kłęby dymu, leżące nisko z dużą szybkością, wnoszą ze sobą jakiś niepokój, zapowiadają silniejszy wiatr, czasami są to spokojne, równymi szeregami rzucone na niebo chmurki passatowe. Zdaleka oto zbliża się groźna, jednolicie czarna, poprzedzona nagłym szkwałem, pochylającym jacht, bijąca gwałtowną ulewą — chmura deszczu. Ale najwspanialsze są niewątpliwie te ogromne, masywne, grube, błyszczące w słońcu jaskrawą bielą krągłych wypukłości chmury kłębowe, wznoszące się na wiele tysięcy metrów w górę niby jakieś kolosalne olbrzymy.

A i w morzu też dzieją się rzeczy ciekawe. Wre, pieni się poprostu życie w tych tropikalnych wodach. Wieczorami zwłaszcza oglądamy sprawy fascynujące otwartymi szeroko z ciekawości i zdumienia oczami.

Na stada ryb latających nie zwraca się już uwagi, tak częstym są zjawiskiem. Chyba, że trafi się jakaś wyjątkowo wielka gromada, lecąca nisko nad wodą, niby chmura wróbli.

Od czasu do czasu błyśnie taka ryba tuż nad pokładem jachtu — niby srebrna strzała, wpadając po przeciwnej burcie — z powrotem do wody. Niekiedy nie uda jej się taki skok — uderza o pokład, rzucając się rozpaczliwie — ta posłuży nam jutro na obiad.

Obserwujemy właśnie lot wielkiego stada ryb-ptaków, gdy nagle morze wokół nas zaczyna pienić się i wrzeć, niby poruszone od wewnątrz jakąś niezwykłą siłą.

Światło latarki wyjaśnia sytuację: to całe zwarte gromady ryb w szalonym niepokoju przepływają obok nas, ścigane przez jakieś większe drapieżniki! Zjawisko to nazwaliśmy „wojną rybią", takie masy ryb biorą w nim udział i tak jest ono gwałtowne.

A wojna wre istotnie wokół nas. Ciasno musi być w tym głębokim i bezkresnym oceanie! Co chwila wyskakują nad wodę jakieś niewielkie ryby, a za nimi ogromnymi skokami śmigają olbrzymie piły i inne jakieś drapieżce.

Zwinność i siła tych stworzeń są zadziwiające: wyskakują na kilka metrów w górę, błyskawiczne, nagłe, mocne i krwiożercze. Jest to widowisko tak wspaniałe, że o zachodzie słońca zasiadamy na nadbudówkach i obserwujemy morze jakbyśmy byli w teatrze.

Pod koniec już naszej podróży zdarzyła nam się taka przygoda. Oto w pewnej chwili wywołał nas okrzyk sternika: „Wszyscy na pokład!" W odległości kilkuset metrów rozlegał się szum, parskanie, woda kotłowała się tam gwałtownie. Było to ogromne, złożone co najmniej ze stu sztuk stado delfinów. Ktoś wykrzyknął: „Szarżują na nas!" — Istotnie stado wyraźnie pędziło wprost na jacht.

Za chwilę znaleźliśmy się w jego centrum: wokół nas prychanie, sapnięcia i mowy, masy wielkich, zwinnych ciał. Całe stado zajęło miejsce przed bukszprytem, na wysokości dziobu i ruszyło wraz z jachtem.

Gdy się sięgnęło ręką za burtę, można było poprostu pogłaskać po ciemnym, śliskim grzbiecie delfina niby grzecznego piska. Zgrupowanie tych zwierząt na dziobie dawało wrażenie, że jesteśmy ciągnięci przez wielkie stado niby jakaś królowa Amfitryta.

Innym razem napotkaliśmy dwa wieloryby, czy kaszaloty, bijące fontannami wody o 50 m od jachtu. Dziwne, że zapędziły się one na tak ciepłe wody — nie spodziewałem się, by je można było napotkać na tej szerokości!

Pod koniec naszej podróży zaczynają się lekkie emocje. Przede wszystkim psuje się

dobry, dokładny zegarek i już nie możemy dokładnie odszukać pozycji na morzu! Jedziemy, posługując się nawigacją zliczoną i kiepskim zegarkiem, do którego zaufanie ma jedynie jego właściciel. Zdania są tak podzielone, że jedni uważają, iż znajdujemy się o 600, a inni, że o 200 mil od brzegu.

Radia nie mamy, nie możemy więc złapać sygnału czasu, jesteśmy tutaj zupełnie bezradni!

Pewną wskazówkę daje nam pewnego dnia fakt, że woda, jasna dotychczas i niebieskawa, staje się nagle ciemna, niemal czarna. Jesteśmy na wysokości ujścia Amazonki. Obserwujemy spiętrzoną, ostrą falę, możliwą tylko na silnym prądzie.

Pogoda blisko brzegów Ameryki nieco się psuje. Nadchodzą szkwały z deszczem. Raz nawet morze zaczyna tak kaprysić, że zarzucamy grota, refujemy bezan i starannie przygotowujemy dryfkotwę.

W końcu jednak wszystko się uspakaja: dobra sława tych okolic, jako miejsc, w których nie ma sztormów, utrzymuje się pośród nas do końca.

Spór o to, gdzie jesteśmy, został rozstrzygnięty niespodziewanie a bezapelacyjnie. W nocy okrzyk: „Wszyscy na pokład!"

W jasnym świetle księżyca wyraźnie widać pasmo niskiego lądu w niewielkiej odległości. Zawracamy jaknajszybciej i pełnym gazem pod motorem uciekamy w morze: sonda wskazuje tu 2 metry, za chwilę więc siedzielibyśmy na mieliźnie!

Jest to noc z 7 na 8 kwietnia. Podróż nasza przez ocean trwała więc 27 dni.

(c. d. n.)

HM. ROMUALD ORZANOWSKI

WŁADYSŁAW WAGNER — AUSTRALIJCZYKIEM

Sensacyjne odkrycie „Die Yacht"

„Die Yacht" poważne pismo niemieckich sfer jachtsmeńskich w numerze 22-im z 3 czerwca b.r. — donosi co następuje:

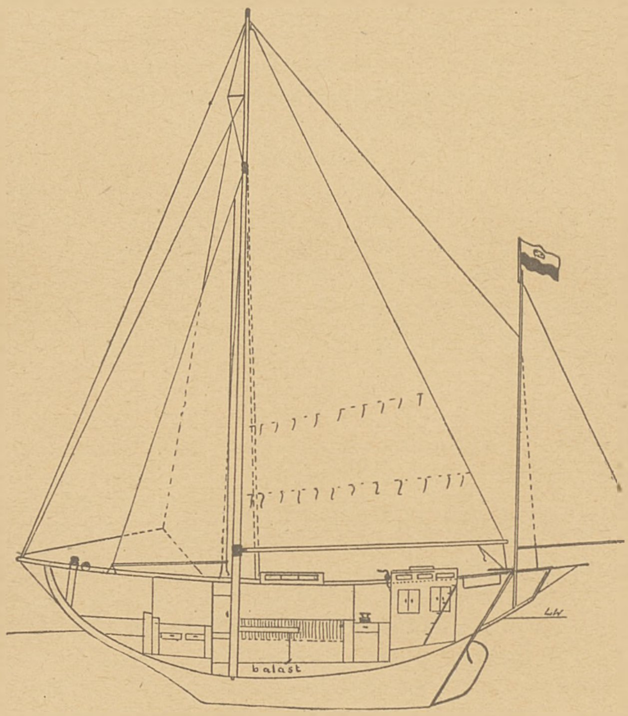
„Skauci morscy na wielkim rejsie! — Na całym świecie istnieją skauci morscy; którzy co kilka lat wysyłają swoje delegacje na międzynarodowe zloty. Szkolenie w tych organizacjach jest bardzo zbliżone do *Marine-Hitler-Jugend.* Młodzież kształci się w wielu rzeczach jak: sygnalizacja Morsem, w splotach i węzłach, a po ukończeniu szkoły jest chętnie przyjmowana do handlowych szkół morskich. W bieżącym roku odbędzie się wspomniany zlot międzynarodowy. Jako miejsce zlotu wybrano piękną miejscowość w Szkocji — Menzies Castle. We wszystkich częściach świata udają się teraz skauci morscy w długie rejsy. Szczególnie dzielnymi wydają się być trzej Australijczycy, którzy na piętnastometrowej długości jolu *„Zjawa III"* udali się w podróż. Statek jest wyposażony w motor pomocniczy i jak nam meldują sprawia się dobrze. Dzielnej załodze oczekiwanej w Szkocji przygotowuje się szczególnie serdeczne przyjęcie".

Tyle *„Die Yacht"* — organ niemieckich jachtsmenów, — narodu, który mieni się być *„arcymorskim"* —, a więc znającym bandery innych państw, — tymbardziej chyba siedzących tuż za miedzą. Inne pismo niemieckie — *„Ostsee-Handel"* w jednym z artykułów zarzuciło nam brak *„mentalności morskiej"*, a jednak przeciętny żeglarz w Polsce wie, że — *„Admiral Karpfanger"* pływał pod banderą niemiecką, a nie inną. — Także wydaje nam się, że *„Zjawa III"* — brzmi nie po angielsku, a po polsku — czyli tak jak dźwięczy polska mowa na niemieckim pograniczu — tuż, tuż obok miedzy polsko-niemieckiej. Wydaje nam się też, że na pokładzie *„Zjawy III"* znajduje się nie trzech Australijczyków, a dwóch, bowiem kapitan statku, Wł. Wagner, (niestety nazwisk notatka nie wymienia) jest obywatelem polskim i polskim harcerzem z Gdyni o którym wie dziś każdy chłopiec w szkole powszechnej, a tymbardziej każdy dziennikarz — bo od lat pięciu prasa wszystkich krajów świata wyraźnie i z entuzjazmem pisze o młodym polskim harcerzu płynącym pod polską banderą przez oceany...

Co do owego systemu szkolenia w skautingu morskim rzekomo zbliżonym do systemu *Marine-Hitler-Jugend* — to zdaje nam się, że jest odwrotnie. Chyba *Marine-Hitler-Jugend* przejęło system skautów morskich. U nas w Polsce harcerstwo wodne miało już sprecyzowany system szkolenia w r. 1931, a jak historia wskazuje *M-H-J.* jest bodajże organizacją późniejszą — więc, kto tu do kogo się zbliżył systemem wychowawczym i gdzie *„see mentalität"*. Służba informacyjna organu niemieckich jachtsmenów jest dość słaba.

Pozwolimy sobie sprostować, że *„Zjawa III"* motoru nie posiada, a w ostatnim etapie podróży spisuje się dobrze dzięki zdolnościom i rutynie żeglarskiej swego kapitana, jak też gorliwej pracy skautów australijskich. Przypuszczamy, że tak poważne wydawnictwo berlińskie z Grossadmiral - von - Koester - Ufer 59, redaktor Günther Grell i wydawca — człowiek morza — kapitänlentnant z. V. Karl Jasper tylko się omylili — bo przecież „wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi".

S/J „ZJAWA III".



Redakcja „Żeglarza" uzyskała szereg technicznych informacji o „Zjawie III' od druha L. Kaczanowskiego z Sydney, który przybył obecnie do Polski. Druh Kaczanowski przez długie miesiące był nieodstępnym towarzyszem Wagnera, pomagał przy remoncie i konserwacji jachtu oraz brał udział w wyprawach wzdłuż brzegów australijskich. Za udzielone szczegóły i szkice serdecznie dziękujemy i spodziewamy się, że zainteresują one czytelników.

„Zjawa III" wybudowana była w Gnayaguil (Ekwador) wg. projektu i pod osobistym kierownictwem Wł. Wagnera z najlepszego drzewa ekwadorskiego.

Wymiary kadłuba są następujące:

długość po pokładzie:	51 stóp	—	15¾	m.
długość w linii wodnej:	38 „	—	12	m.
szerokość największa	13 „	—	4	m.
zanurzenie	6,5 „	—	2	m.

Konstrukcja jest całkowicie drewniana. Na żebrach o przekroju 3" × 4" *), rozmieszczonych w 18" położone są klepki poszycia grubości 1,5". Pokład ułożony jest z klepek tej samej grubości na pokładnikach 4" × 4". Pod kilem umocowany jest balast zewnętrzny wagi 3 tonn.

*) " — oznacza cale.

Wyporność jachtu wynosi ok. 20 tonn.

Jacht ożaglowany jest jako jol typu Markoni o pow. 114 m². (kliwer, fok, grot, bezan). Żagle przymocowane są do masztów i bomów przy pomocy pełzaczy (z bronzu spiżowego), ślizgających się po szynie. Żagle refuje się na refsezingi, a nie przy pomocy refpatentu.

Wnętrze jachtu rozplanowane jest następująco. Na rufie znajduje się obszerny magazyn. Nad nim kokpit z siedzeniem dla sternika, trzymającego masywny rumpel. Przed kokpitem znajduje się niewielka, niska nadbudówka, przez luk w niej zejście pod pokład. Na lewo od trapu kajuta kapitana z jedną koją, szafą i stołem do map. W kajucie tej wisi kompas sterowy, który jednocześnie widzi sternik przez specjalne okienko (jak na „Zawiszy Czarnym").

Na prawo od trapu pomieszczenia na żywność, ubrania sztormowe i t.p.

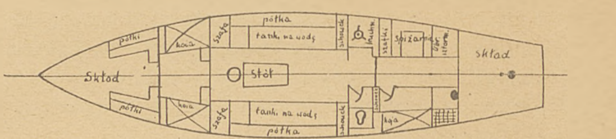
Nawprost trapu przejście do salonu. W przejściu po prawej kuchnia, po lewej ustęp. W kajucie-salonie dwie duże kanapy po burtach, pośrodku stół. Pod kanapami zbiorniki na wodę i balast wewnętrzny.

Z salonu przejście do kajuty załogi z dwiema kojami, szafami i t.d. Nad salonem znajduje się otwierany, niewielki skajlajt.

Na dziobie obszerny forpik ze składem potrzebnego sprzętu.

Do forpiku osobne zejście przez luk.

Jak widać, jacht jest urządzony prosto, ale celowo. O jego zaletach świadczą przebyte zwycięsko sztormy i trasa przez dwa oceany. Obecnie wpłynął na wody trzeciego oceanu — Atlantyku, poczym powita Bałtyk i Gdynię, w której będzie jachtem najsławniejszym dzięki wyczynom swego kapitana.





WŁADYSŁAW DRAPELLA

CZARNA BANDERA

(Nowela)

Gwiezdna, parna noc okryła port.

Zastygły w bezmyślnej zadumie dźwigi-parobki. Wyprostowały spracowane nogi, rozstawiły je szeroko, jak można najszerzej, wparły je w kamień ciężarem żelaznego cielska; głowy zadarły do gwiazd błyskotliwych, dalekich, mrugających — i patrzą... słuchają... w olbrzymie płuca powietrze biorą... Ku rozświetlonemu sklepieniu ślepia podniosły — i uśmiechają się.

Tak sobie. — Czy to nie wolno?

Do gwiazd poglądają... Która czyja? — I w prostokątny, wodą nieruchomą wypełniony po brzegi basen — i znów ku mlecznej drodze... Ku pustemu gardzielowi stoczni nieruchomej leci spojrzenie, w dół, ukosem, z nawisłych, żelaznych powiek. Po Ostrodze Rybackiej stąpa, gdzie wyciągnięte w basen, zakrzywione ramię drewniane, na niezliczonych nogach sparte spoczywa nad dnem tajemniczym... Meduzy, mizerne gejsze, objęły w uścisk te nogi niezliczone — i wachlują się ogromnymi wachlarzami z piany... mgły... rosy...

Ku świetlikom zielonym, czerwonym... bieży żelazny wzrok.

Po ciemnych zarysach statków przysiadłych przy wysokich szkarpach betonowych, tysiącami rąk wgniecionych w miejsce niedawno bezludne, bezpańskie — pełzają oczy.

Śpi woda, jak lustro lśniąca, językami ognistymi przecięta wzdłuż i wszerz. Poorana tymi światłami i wygładzona zarazem. Tylko od strony morza, przez wejście wąskie, ryglem ciężkim kesonu zamknięte w głębi, przez wejście wieżyczkami strzeżone, wdarł się na nieruchomą, ciężką, zaskrzepłą bryłę wodną wiatrłazik. Przestrzeń trójkątną, ku rufie szwedzkiego transportowca ostrzem biegnącą, pomarszczył, zorał, w kłębowisko fal drobnych, rozbieganych jak dzieci, zamienił.

Z daleka przyleciał...

Pobawi się i, poleci znów w dal, na nowinki, ploteczki — ciekawy wietrzyk włóczęga.

— Z daleka?

— Od Pucka, poprzez mierzeję — szepce wiatr.

— Złaziłeś się?

— Nie męczę się nigdy — sepleni.

Skokiem nagłym przesadza falochron i znika. Już jest przy kesonie, truchtem koło jego niskiego, tuż nad wodę wysadzonego czoła gna. Ku Górze Kamiennej, Orłowu...

Patrzą za nim oczy niebieskie, prawie granatowe, ogromne, jak niebo dzisiejsze świetliste, marzące.

— Przyszedł. Łazik, włóczęga... Trza iść... Północ chyba?

Zastane w miejscu nogi poruszyły się ociężale. Zaskrzypiał piasek rozsiany na molo, po kamiennej barjerze falochronu zaczął pełzać cień mgławy, rozlewny, kurczący się i wyciągający w nieskończoność, — cień-towarzysz... nieodstępny znak, włóczący się jak dziad... w pokorze, na klęczkach...

Holownik wpływa do basenu węglowego.

Za nim statek spracowany długą drogą, wtacza się ociężale między nabieżniki.

Jeden z dźwigów drgnął i olbrzymią, muskularną pięścią zatrzepotał w powietrzu.

Trzy ryki syreny!

Szelest miażdżonej śrubami wody.

Głosy...

Poszczekiwanie psie, powitalne, radosne.

Rzuty stalowych lin.

Statek staje przy nabrzeżu.

Witek zatrzymuje się. Oczy po raz ostatni zwraca na odpływający holownik, na dźwigi, na ciemne kontury statków.

— Nowe nasze Akropolis — mruczy i rusza wolno. Prześlizguje się jakby chyłkiem obok domów, przechodzi koło molo pasażerskiego, wreszcie skręca na niedokończony falochron gdzie czerni się jacht mały.

Podniósł żagle.

— Na rejs cię poprowadzę, dziwny, pogmatwany, bez początku i końca — rozmawia z jachtem.

— — — — — — — — —

Południe!

Witek leży na wznak na pokładzie swej „Zjawy" i patrzy w chmury. Jedną nogę za burtę wystawił, drugą na rumplu oparł, ręce pod głową splótł.

Marzy....

Płynie...

Czasem przesunie sterem na nawietrzną, — na zawietrzną, popatrzy na mgławe zarysy lądu dalekiego, na mewy czarno-białe, szerokoskrzydłe, na trzepocącą się banderę — czarną, z brzegami poszarpanymi — i znów ku chmurom wzrok zwraca. Granatowe źrenice ślizgają się po szczerbach i załamaniach, po wytartych, wyleniałych, bezbarwnych plamach, po szczelinach przedziwnie zawiłych i brzegach targanych wysoko lecących wiatrem.

— Pływało się... dawniej... Nie tak... — rozmawia ze sobą.

Wspomnienia idą z fal ku niemu. Jakiś głos... Z głębiny się zrywa i kołysze. Znany

głos... Ponad falami drga, na cienkich nogach-badylach się chwieje i nuci... nuci...

Witek zamyka oczy, zmienia pozycję, tarza się po pokładzie, — siada do steru. Nic to nie pomaga. Słyszy zawodzenie żałobne, jęk-nie-jęk, krzyk-nie-krzyk, bolesny, bezgłośny, z popod fal wiejący... głos... z wiatrem się goniący... wokoło „Zjawy", wokoło... Na cienkich nogach... ruchliwy, gadatliwy... niewidoczny... śmiech... skarga...

— Tyś ją na zatracenie dał...

— Nie! — odkrzykuje blademi usty. — Nie ja!

— Kochała... — chwieje się wokoło jego głowy szept-chichot.

— Ach!

— Pijakowiś ją oddał...

Witek zastawia ster i kładzie się na dziobie, pochyla twarz do desek pokładu. Z głębi piersi, z wnętrza nieodgadnionego tajemnic serdecznych wydobywa, wyłamuje się skarga, jęk bolesny, łzawy krzyk protestu:

— Nie ja!... Sama poszła!

Na pokład spływają łzy. Ręce zaciśnięte wpiły się w drzewo, drapią je konwulsyjnie, orzą po nim, miotają się we wsze strony w rozterce, w bólu bezgranicznym, w szamotaniu.

— Nie ja... Sama poszła! — leci nad wodą krzyk. — Sama chciała! Duszę podobną do swojej znalazła w nim — artystyczną...

Malarz... — pijak! — Poszła go zbudzić, uduchowić, z błota podźwignąć. — Portki poplamione czyścić! Artyzm budzić, nieśmiertelny artyzm, zataczający się po ulicach! —

Usta wykrzywia ironiczny uśmiech.

— Święta!... — krzyczy na cały głos.

— Sameś chciał... — ściele się wokoło niego szept.

Podnosi się z trudem i na klęczkach czołga wzdłuż burty, łapie skostniałą, drżącą ręką ster, wybiera szkoty.

„Zjawa" skręciła ostro i wparła się w fale, rozorała je ostrym, lekko-łukim dziobem, rozwaliła na dwie skiby błyszczące, iskier rozdygotanych pełne, i — popłynęła w dal, pozostawiając za sobą wygładzoną, lśniącą bruzdę, kilwater długi, wygięty, rzucony w fale, jak górska, kamienista, grzbietami prześlizgująca się droga, zakoli i przegięć pełna — przez mokry i dyszący życiem las wydeptana twardymi koni kopytami.

Zatrzepotała głośniej czarna bandera.

Wiatr wzmaga się.

Z poza wygiętego grzbietu wodnego wypełzają na spokojne, srebrno-niebieskie niebo chmury ciemne, pierzaste, niewidzialną ręką rzucone na wiatr.

Szkwał idzie!

Ręka silniej zacisnęła się na rumplu.

Po ustach przewinął się uśmiech wyzywający, oczy zwiężone, świecące, pognały w dal na spotkanie wszechwładnego Smętka, co już swą gęślę stroił, uderzał długimi, wychudłymi piszczelami po jelitach baranich i budził szlochy zamarłe, dźwięki zakrzepłe, smętolenia wichrowe...

Próbował strun.

I nagle marsz swój, królewski krzyk rzucił na ostrza fal rozkolebanych, miotających się we wsze strony — z czatownic nieznanych wybiegłych na świat, na harc.

Błąka się po nich wzrok samotnego żeglarza, włóczęgi morskiego, ciśniętego na zatracenie prawem kaduka.

Grom!

Zstąpił z legowiska Smętek; w wantach rozjęczała się jego pieśń, po wydętej płaszczyźnie łatanego grota przesunęła się ociężale, targnęła nim raz — drugi — trzeci; — w postrzępionej banderze się rozgadała.

— Tęgo grasz — mruczy Witek schylony przy sterze.

— — — — — — — — —

Ku słabym światłem migocącej szybie okiennej pełznie cień wysmukły. Przypadł do węgła domu, przylgnął do wypaczonej, dziurami świecącej ściany, — ku oknu się podsunął.

— Patrzy!

Zamigotały w mdłem świetle włosny krucze, zapaliły się do szyby przylegle oczy czarne, ogromne.

— Pije... — wyrywa się z zaciśniętych ust jęk cichy. Snuje się po oknie, wzdłuż ściany, po nawisłym, na bakier przekrzywionym dachu łazi, rynnami poodrywanymi spływa w dół; — w ziemię wilgotną, błotnistą, wsiąka — jak woda.

Opiło się to miejsce łez, nasłuchało szlochów cichych, z dna duszy wyrywanych bezlitosnym, ślepym nieszczęściem; napatrzyła się ta mała, wbita między rozszczepione, przegniłe kraty okna, szyba scen straszliwych. Wszystkoczująca, trawą lichą i mchem porosła, sosną pokurczoną, ciemno-piórą ocieniona ziemia międzymorska — nasłuchała się tych szlochów serdecznych — wzięła je w swe serce nieogarnione, litosne, w ręce kościste, żyłami szkarp pokryte — i trzyma — i dzierży jak skarb.

Skrzypnęły złośliwie drzwi, rozwarły się ociężale.

Staje w progu, wychudzony, łachmanem sukni odziany, paskiem prostym, skórzanym przepasany — cień kobiety o ogromnych, przepastnych, czarnych źrenicach.

Z nad stołu, z za płótna podartego, porzuconego bezlitośnie, z pomiędzy papierów, garnków, butelek — wyrywa się głos:

— Wreszcie!

Twarz obrzękła, czerwona, zamajaczyła w świetle lampki naftowej.

Oczy blaskiem niezdrowym rozświetlone biegną ku kobiecie, obłażą ją lepkim spojrzeniem, obmacują bezwstydnie, pełzają jak ręce po jej ciele, biodrach, piersiach.

— Kochanie! — wyrywa się krzyk, czkaw-

ką w połowie stłumiony, i ręka drżąca o palcach długich, rozszczepionych drapieżnie wyciąga się do niej. — Anno, — skończyłem obraz.

Poskoczyła ku niemu.

— Kłamiesz!

Zachichotał, zakaszlał się śmiechem z radości.

— Pokaż!

Powstał. Z ciemnego, zarzuconego gratami kąta wyciągnął płótno, ustawił je na sztalugach i pomału odwracał ku światłu. Na prostokątnej płaszczyźnie zagrały barwy.

Twarz kobiety zastygła w boleści. Szeroko rozwartymi oczami wpatrywała się w obraz.

Mężczyzna przysunął się do niej, oparł obiema rękami o stół i patrzył jej w oczy ironicznie. Jego usta wykrzywiały się raz po raz wyrzucając słowa niezrozumiałe.

Gorącą dłonią przesunął po jej ramieniu, objął ją wpół i przyciągnął do siebie.

— Dałem Ellenai flachę czystej do garści, — by sobie łyknęła — mamrotał. — Butelka jak się patrzy, przepisowa, z napisem. Do stóp cisnąłem jej pijaka, polskiego pijaka, firma pewna, pan z panów — herb na palcu — — we fraku!

Szukał ustami jej ust.

— Czego?

— Pocałuj! — pisnął i roześmiał się głośno.

— Ostatnie płótno zepsułeś!

Pijak aż przysiadł na brzegu tapczana, rękami uderzył się po kolanach.

— Cha! cha! cha! cha! — darł się na cały głos.

— Zamilcz!

— Cha! cha! cha! cha!...

W nagłym gniewie złapała flaszkę i zamachnęła się nią na męża.

Uchylił się od ciosu.

— Żmija! — syknął.

Skoczył ku niej, złapał za włosny, przygiął do ziemi. W spazmach pijackiego szaleństwa targał na niej ubranie, darł za włosy, bił klęczącą kułakami po twarzy, po piersiach, wreszcie półomdlałą kopnął kilka razy i runął wyczerpany na tapczan zahaczając nogą o stół.

Nie słyszał już stuku spadającej lampy.

Zasnął kamiennym, pijackim snem.

— — — — — — — — —

Po zgniłych, wykrzywionych starością ścianach, po pułapie dziurawym, podłodze wyboistej, pozbijanej z desek zmurszałych, nad brzegiem morza skrzętnie ciułanych, po wypaczonych, odwalonych, w bok, odrzuconych z zawias drzwiach — pełzają czerwone dłonie ognia.

Jasno się robi, — ciepło.

Strzelające w górę języki dosięgły dachu, zawirowały, skłębiły się na lepkim, zgniłym, wilgocią przepojonym poszyciu, zaskomlały — i nagle buchnęły ku niebu w radosnym krzyku, wzbiły się ponad niskie sosny, zda się chmur doskoczyły.

Przez płonące wejście przeciska się cień.

— Anuś! Anuś!

Znalazł. Porwał na ręce opalone ciało. — Idzie. Biegnie nad brzeg. Nie zważa na szalejący wiatr, na deszcz siekący w twarz i niebo rozpętane, rozświetlone błyskawicami, przywalone chmurami kłębiącymi się na niewidzialnych wysokościach.

Na rozpostartych rękach ciężar trzyma.

Niesie swoją jedyną miłość, unosi ją z płonącego domu — daleko... daleko...

Pod drzewem ją składa, otula sobą, cuci.

— Anuś!

Po umazanej krwią twarzy ręką przesuwa.

— Anuś!

Drżącemi rękami rozgrzewa zimne ciało, tuli je do piersi szerokiej, opalonej. Całowuje z twarzy krew lepką. Ucho do serca przykłada... Słucha...

Morze szumi...

Wicher gra nad drzewami lecąc, nad wodą...

— ...Może zabije — myśli Witek i znowu cuci, ratuje....

Raz, dwa — pauza...

Ręce zginają się, prostują, zginają...

Raz, dwa — pauza...

Mija godzina, — druga... trzecia...

Nic!

— Przedświt niedługo — mruczy Witek.

Podnosi się ociężale, bierze na ręce ciało bezwładne. Trzyma je. Mocno. Mocno przycisnął trupa do piersi i patrzy przed siebie w rozbiegane ostępy wodne, w chmury, w las.

Zasłuchał się, zapatrzył.

Po ustach wije się uśmiech dziwny.

— Święta! — krzyczy nagle i śmieje się na całe gardło. Do pałacu cię zawiodę — mruczy i znowu wybucha śmiechem. — Chodź!

Idzie ku wodzie, wchodzi z nią po kolana... po pas...

Nad rozkolebaną wodą skacze jego śmiech straszny.

— Święta! — krzyczy, drze się ochrypłym głosem.

— Sameś chciał... — przelatuje mu koło głowy szept.

— — — — — — — — —

Z za gęstwy pogmatwanej chmur wydarł się na świat promień słoneczny, spadł na wilgotny, złoty piach, na ruchomą pochylnię fal, — na rozszemrany las i ślad woranych głęboko w piasek stóp.

Ku morzu szedł ten ślad...

Worywał się w mokre śruciny nadmorskiego piasku... głęboko... głęboko...

W głębinę biegł ślad...

Zachybotał się nad nim cień szerokoskrzydły...

Mewy lotnej cień?

— — — — — — — — —

A może czarnej bandery pożegnalny trzepot?



N A K U R S I E

O VAN LOON'A KSIĄŻCE SŁÓW PARĘ.

Nie bez lekkiego bicia serca bierze się do ręki książkę Henryka van Loon'a *„Dzieje zdobycia mórz"*. Bo czyż biorąc ją do rąk nie zadajemy Autorowi, jeszcze przed rozpoczęciem czytania, mnóstwa pytań, na które chcielibyśmy otrzymać odpowiedź?

Obawy te zbędne. Na większość, bezwzględną większość postawionych przez nas pytań otrzymujemy w *„Dziejach..."* odpowiedź. Książka jest bez większych zastrzeżeń opracowannym dziełem, w którym zagadnienia rozliczne *(historyczne, kulturalno-obyczajowe, żeglugowe, ekonomiczno-handlowe, konstrukcyjne i kolonialne, a nawet wkraczające głęboko w historię sztuki)* splotły się w ciekawy i w naszej literaturze „e g z o t y c z n y" obraz p o c z ę c i a s i ę z k ł o d y d r z e w n e j *pojazdu wodnego*, jego rozlicznych form *„organicznych"* — aż do jego dzisiejszej pełnej, męskiej formy.

Siedem tysięcy lat trwał ten okres. W naszych oczach, dzięki Autorowi, tworzy się coś tak wspaniałego jak żaglowiec i coś tak zdumiewającego jak statek czy okręt nowoczesny, dla którego magellanowska cieśnina 1001 huraganów jest tylko ostrym zakrętem tramwajowym, branym z łatwością i lekceważeniem. Czyż zakładając dzisiaj kil pod statek, okręt czy żaglowiec, zdajemy sobie sprawę z tego najgłębszego i najpoważniejszego, prawie mistycznego, w całej budowie faktu? Jest to moment dużo głębszego znaczenia, o tradycji wielowiekowej, niż buńczuczne rozbicie o ostry dziób flaszki szampana, stwierdzające jedynie zdolności utrzymania się na wodzie (wodowanie). Moment wmontowywanie w przyszły *„organizm"* s e r c a - k i l u *(nie maszyny są sercem)*, z którego powstał i rozwinął się wątły spoczątku organizm o skrzydłach bezlotka — w piękny, *organizm* dzisiejszego statku i okrętu, w silne skrzydła współczesnego żaglowca nie jest dzisiaj brany pod uwagę. Taka myśl nasuwa się po przeczytaniu *„Dziejów"*.

Niezaprzeczoną zaletą książki jest świetny styl H. Van Loon'a oraz b. dobry przekład dr. M. Jarosławskiego, który pracę holenderskiego badacza uzupełnił obszernym rozdziałem p. t. *„Flota polska na Bałtyku"*. Wydanie, jak zawsze, b. staranne.

Leżą przede mną dwa wydania *„Dziejów..."*: polskie i francuskie. Nie znam wydania holenderskiego i niemieckiego. To ostatnie podobno wydane nadzwyczaj starannie. Polskie jednak, w wyd. Trzaski, Everta i Michalskiego, uzupełniono wielu ilustracjami, których nie posiada skromne i mało staranne wydanie tej pracy w f. Payota, góruje nad francuskim. Książka H. v. Loona jest to pierwszorzędnej wartości studium nad dziejami zdobycia mórz i rozwojem żeglugi, którego dotąd literatura polska (poza *„Żeglugą morską"* M. Zaruskiego) była pozbawioną.

W tłumaczeniu przyjął dr. M. Jarosławski urzędowe słownictwo „czyste" opracowane przez *Morską Komisję Terminologiczną* pracującą przy *Polskiej Akademji Umiejętności* w Krakowie. Czy słownictwo to *przyjmie* się — trudno narazie przewidzieć. Gen. M. Zaruski w przedmowie do tej książki chyli głowę przed *„syzyfową pracą"* Tłumacza i nie wróży nowemu słownictwu żadnej przyszłości.

Jedyną wadą pracy H. van Loon'a jest brak zupełny bibliografii. Nawet największe ukochanie przedmiotu nie usprawiedliwia tego przeoczenia. Dla szerszych mas czytelniczych książka ta będzie jednak zawsze lekturą cenną i pouczającą.

Dr...

P.S. Do podobnych prac należą: Essai sur la construction navale des peuples extra-européens — Pàris, Archéologie navale — A. Jala i in.



ST. WARNIA

LĄD I MORZE

ROZDZIAŁ V.

Duchy same przychodzą... 7

Pan Liniewicz jest smutny. Przyszedłem do jego chatynki z rana, bo o normalnej porze nie znalazłem go nad rzeką. Siedział na przyzbie i strugał patyki.

— Moje uszanowanie.

— A, moje najmilsze — odpowiedział swoim głosem, ale nie tak jak zwykle.

— Co pan robi?

— Nic, profesorze. Dzisiejszy dzień poświęciłem rozmyślaniu.

— Nad czym, panie kapitanie?

— Nad sobą. Człowiek musi czasem zrobić rachunek sumienia. Wiesz pan, sumienie to paskudny wynalazek i wcale mi nie dziwno, że ludzie topią je w kieliszku wódki, w rozpuście, w różnych szaleństwach, tak, tak panie profesorze. Pan miał kiedy, no, powiedzmy, gadałeś pan kiedy z duchami?

— Z duchami?

— Hm. Popatrzał mi w oczy po swojemu, aż do mózgu, do głębi moich myśli. Zmieszałem się. Chciałem odpowiedzieć, że duchy nie lubią wdawać się w pogawędkę ze zwykłymi śmiertelnikami, zresztą kto może zaręczyć, czy wogóle coś w tym rodzaju istnieje, coś w rodzaju duchów.

Pan Liniewicz ćmił faję i nie spuszczał ze mnie wzroku.

— Czego pan szukasz na ziemi — rzucił znienacka.

Co miałem odpowiedzieć. Że unikam jego spojrzenia? Przecież nie uczyniłem nic złego, a czułem się wtedy tak, jak uczniak, który coś przeskrobał i boi się przyznać do winy. Głupie i natrętne uczucie.

— Pana mało duchy obchodzą, bo masz pan 30 lat. Powiem panu coś. Ja jestem dwa razy starszy od profesora. Jak obszył. Dziś pękła sześćdziesiątka, tak, dziś.

— Niemożliwe! — Wykrzyknąłem, on, skończył 60 lat! On, pan Liniewicz? Może żartuje.

— Tak, taak, pękła sześćdziesiątka — wycedził, patrząc w chmurzące się niebo. Dzisiaj powiedziałem sam sobie: — „Liniewicz jesteś stary''. I od dziś zaczynam żywot starego człowieka. Panu to mówię, słyszysz pan, jesteś mi pan bliski, polubiłem pana, przypominasz mi pan kogoś bardzo bliskiego z urody, z usposobienia, ale nie to ważne, do krocset starych dziadów, nie to. Pan nie wiesz o mnie nic, tyle co ci opowiedziałem o sobie, o swojej młodości. Nieraz i nie dwa przychodziło ci na myśl zapytać, skąd się tu wziąłem, co teraz robię, co robiłem przedtem i co mam zamiar robić dalej. To, wierz mi młodzieńcze, rzadko spotykana delikatność. Nie mam dziś zamiaru opowiedzieć ci swojego żywota, nie, nie dowiesz się nic ponadto co wiesz. Tak, taak. — Podszedł do mnie, wyjął z ust fajkę i objął mnie wpół i pocałował w czoło. Zmieszałem się niepomiernie, nie wiedziałem co mi wypada uczynić. Uścisnąłem mu mocno dłoń, a on oddał uścisk i jeszcze raz pocałował:

— Przy Tobie dobrze mi się wspominało dawne czasy, bo trzeba ci chłopaku wiedzieć, że marynarz musi komuś opowiadać swoje przygody, szczególnie gdy one przechodzą do jego własnej, prywatnej historii. O tak, czem dla młodzieńca marzenia, tem dla starego wspomnienia. Stary jestem. —

Rozejrzał się po niebie. Chwilę jeszcze stał z nożem w garści i ostruganym patykiem, zatkniętym za pasek od spodni. Wbił nóż w ścianę, patyk odrzucił, uśmiechnął się po dawnemu:

— Ha, do krocset, a może szklaneczkę czarnej kawy. Przyrządzę po malajsku. — Cmoknął łakomie, oczy mu zabłysły. Znów był sobą, pełen życia, nie sześćdziesięcioletni starszy pan, lecz młody byk morski, miłujący wszystko co mocne a dobrze smakuje. Parzył kawę, a gdy już zasiedliśmy i popijali, opowiadał.

— Czasem, uważasz — mówił mi od dziś „per ty'' — przychodzi mi na pamięć smętna wigilia Bożego Narodzenia. Ty nie wiesz, bo wiedzieć nie możesz, co to jest pioruńskie osamotnienie w obcym kraju, gdzie ty tylko jeden mówisz po polsku. Nikt cię nie rozumie. Jesteś sam, jak zabłąkany okręt wśród nocy, wśród mgły i ciszy. Wszystko na co patrzysz, obce ci jest. Masz dość włóczęgi po szerokim świecie, choć na krótką chwilę, na jeden wieczór, właśnie w czasie Wigilii. A teraz wyobraź sobie, że puściłeś wszystkie pieniądze. Zostało ci tylko parę groszy w kieszeni; że wszystko zamilkło, zamarło. Ludzie poszli do domów na doroczną uroczystość tradycyjną: łamią się opłatkiem, życzą sobie wszystkiego dobrego, spożywają wieczerzę. A ja sam, w zimnej i ciemnej kajucie stalowego okrętu ze swymi myślami w języku polskim. Już dwa dni nic w gębie nie miałem, jak nędzarz ostatniej klasy. Sam się tego dorobiłem, więc zagryzłem zęby i — wsłuchałem się w ciszę. Słyszę tętno własnego serca; jedyny głos, pozatym nic. Księ-

życ samotnik wytoczył się z za wzgórza, zajrzał do luku kajuty. Patrzałem na zielonkawą plamę świetlaną na podłodze i niewyraźne zarysy mahoniowego stołu, przyśrubowanych krzeseł. Cobym dał, żeby mnie jakaś siła nadziemska wyrwała z osamotnienia i przeniosła w rodzinne strony, pod dach cichego dworku, schowanego wśród starych lip, co jeszcze czasy szlacheckiej naszej Rzeczypospolitej pamiętają. Ale nie istnieją takie siły. Muszę tkwić w kajucie, dobrowolny wygnaniec.

Patrzę w światło księżyca i myślę o matce, ojcu, o siostrach i braciach. Przenoszę się duchem do swoich, zasiadam do wigilii, ale milczą wszyscy. Kogoś brakuje. Rozglądam się. Nie ma tam matki. Tak, nie ma matki, ani nakrycia dla niej. Ojciec coś mówi. Matka umarła. Obraz wigilii rozwiał się i znów otoczyła mię zimna pustka z okrągłą plamą miesięcznego światła na podłodze. Ocknąłem się na chwilę, dreszcz przeleciał po ciele. Uświadomiłem sobie rzeczywistość. Nie ma starego dworku, stołu nakrytego białym obrusem, pod obrusem siana, srebrnej tacy, z której ojciec bierze z powagą biały opłatek. Nie ma. Jest stocznia, suchy dok, w doku spoczywa na legarach „Elektra”. Nawet dozorca jest wśród swoich w rodzinnym gronie i ja... sam!

I znów popadłem w zadumę. Po srebrnej smudze miesięcznego światła spłynęła ku mnie najukochańsza z istot ludzkich — matka. Przysunęła się, otuliła błękitnym płaszczem i szeptała: „Jaśku kochany, moje utrapienie, tak cię chciałam zobaczyć w chwili wielkich przemian i tajemnic, wiesz synku. Ciebie jednego brakowało i odnalazłam zgubę, odszukałam synka, moje ty utrapienie”. — Westchnął pan Liniewicz, przetarł dłonią łysinę, sięgnął po imbryk, nalał pełną szklankę kawy i chwilę milczał. Patrzał przed siebie, wydmuchał z płuc dym, odłożył fajkę i mówił dalej. — Wydobyła z zawiniątka kromkę chleba: „masz synku, odłam kawałek i niech cię wielki Bóg ma w swej opiece”. „Mamo!” zawołałem. Ale już jej nie było w kajucie. Usłyszałem własny głos, wśród przeraźliwej ciszy.

Długo w nocy leżałem wtulony w materac i płakałem jak dziecko.

W parę miesięcy później dowiedziałem się, że matka umarła w grudniu. Nie było jej na wigilii w domu.

Nazajutrz poszedłem do portu. Za tych parę groszy, które niechcący pozostały w kieszeni, zjadłem obiad dla nędzarzy: makaron obsypany drobnymi jak owies rybkami. I takie bywają święta. Ale com z duchami gadał, tom gadał i swoje wiem.

Do sytych i rozbawionych duchy nie przychodzą. Wierzaj mi chłopie kochany. Trzeba tęsknić i cierpieć i być tak bardzo sam, jak ja wtedy byłem w Trieście — duchy same przyjdą.

(c. d. n.)

KORESPONDENCJA.

Dh. B. SOJECKI (Gdańsk) — W odpowiedzi na uprzejmy list Druha — prosimy o przeczytanie kroniki w n. 4-tym (3). Obecnie sprawę załatwiliśmy i drugi egzemplarz pewnie Druh już otrzymał. Wyjaśniamy też, że nie zastrzegliśmy sobie żadnych terminów wychodzenia czasopisma.

36 W.D.S. (Poznań) — Do nabycia mamy na składzie tylko parę kompletów z r. 1936 i 1937 po 2,50. Oraz niekompletny rocznik (brak n. 1 i 2) z 1935 r. Przesyłka rocznika 60 gr.

DO NASZYCH PRENUMERATORÓW! Ponieważ coraz częściej zwracają się do nas Prenumeratorzy z zapytaniami, czy nie możemy im nadesłać roczników lub pojedyńczych egzemplarzy — począwszy od n-ru następnego podawać będziemy bezpłatnie w rubryce „Korespondencja“ nazwiska i adresy do korespondencyj wszystkich, którzy chcą sprzedać, ofiarować lub wymienić jakieś egzemplarze w celu skompletowania sobie roczników.

„Żeglarz“ dopiero V-ty rok wychodzi — a już egzemplarze z 1934 r. są wielką rzadkością.

Prosimy więc o zainteresowanie się tą wiadomością i zgłaszanie do Administracji „Żeglarza“ egzemplarzy lub roczników, do wymiany, ofiarowania lub odsprzedaży. **Administracja.**

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE.

Mięsowicz Jan: Wodowanie i lądowanie kajakiem. Z cyklu techniczno-kajakowego. Rysunki. **Skaut** n. 15-16, s. 161—3.

Ochęduszko Jaromir: Sprawa Gdańska, **Naród i Państwo** n. 21—22, s. 3—4 (163—4).

Piotrowicz Roman: Bezpieczeństwo bałtycko — pontyjskiego międzymorza, **Naród i Państwo** n. 19—20, s. 5—6 (140—1).

Boulanger G. E.: Les Fraunes des Océans. Histoire Naturelle de la Mer. Wyd. Payot Paris 1939, s. 204, 51 rys.

W SPRAWIE KONKURSU.

W n. 6-ym zawiadomiliśmy naszych Prenumeratorów o dodaniu do n. 6-go i wakacyjnego egzemplarzy okazowych.

Ponieważ jednak wysyłka tych numerów (ze względu na duże utrudnienia pocztowe) nie może być zrealizowaną w tak szerokim zakresie, jak zamierzaliśmy — zawiadamiamy obecnie naszych Prenumeratorów że **numery okazowe wyślemy tylko osobom zgłoszonym** Administracji „Żeglarza“ przez stających do konkursu naszych Prenumeratorów i Czytelników.

Z chwilą nadesłania przez zgłoszone osoby prenumeraty (rocznej lub półrocznej) osoba zgłaszająca spełniła warunki konkursu. **Im prędzej nadejdą prenumeraty, tym bliżej pierwszych miejsc znajdzie się zgłaszający.**

A więc pamiętajcie: **musimy dojść w roku bieżącym do liczby 1000 prenumeratorów!!**

NA POKŁADZIE „ROZRYWKI".

Errata-konkurs Nr. 3.

W n. 6-tym na s. 123, w szpalcie zewnętrznej, w wierszu (licząc od góry) 23—24 wkradł się błąd (pękoj zamiast jak być powinno: pęknie). Za trafne nadesłanie wyjaśnienia w jaki sposób ten błąd powstał (w pierwszej i drugiej korekcie go nie było) — przyznamy pięć cennych nagród książkowych.

Rozwiązanie należy nadsyłać do dnia 15 sierpnia. Wyniki podamy w n-rze wrześniowym, który ukaże się w dn. 1 września.

ROZWIĄZANIE KONIKÓWEK Z NR. 6.

Bezbłędne rozwiązania nadesłało 89 osób. Nagrodę wylosowali:

1. p. **Franciszek Siegel** (Czortków).
2. p. **Zbigniew Turolski** (Warszawa).
3. p. **Hanka Hejmanowska** (Warszawa).
4. p. **Paweł Potocki** (Lwów).
5. p. **Wanda Godlewska** (Łódź).

Jako nagrodę Redakcja przeznaczyła 5 książek, (dwa egzempl. „Vademecum Żeglarza" dla dwóch pierwszych osób, trzy egzempl. podręcznika na stopień żeglarza, dla dalszych), które zostaną osobom zamiejscowym rozesłane pocztą, osoby zamieszkałe w Warszawie, proszone są o zgłoszenie się po odbiór nagród w Redakcji.

NADESŁANO DO REDAKCJI.

KSIĄŻKI:

Brzegowicz Józef Jan: Osobliwa bandera, W-wa, 1939, s. 24, ilustracje. Związku Pisarzy i Publicystów Emigracyjnych. Odb. z n. 2, z dn. 17. I. 39 r. dwutyg. „Wychodźca". Recenzję podamy w n. następnym.

CZASOPISMA:

Biuletyn Prasowy L.M. i K. nn. 43—57 (Warszawa).
Biuletyn Prasowy S.Z.P.z Z. rok VIII, n. 24 (134), 25 (140), 26 (145), 27 (151), (Warszawa).
Brzask, rok III, n. 5—6 (24—25), (Warszawa).
Kamena, rok VI, n. 8—10, (Chełm Lubelski). Numer poświęcony w całości górom.
Komunikaty Instytutu Bałtyckiego. DIN n. 12, — GAM n. 12, (Gdynia).
Polska na Morzu, rok VI, n. 7, (Warszawa).
Polska na Morzu, B, rok. II, n. 5, 6—7, (Warszawa).
Przegląd Wydawnictw Inst. Wyd. Bibl. Polska, — rok. II, n. 5—6 (Warszawa).
Szkwał, rok VI, n. 6, (Warszawa).
Skaut, rok XXVI, n. 15—16, (Lwów).
Naród i Państwo, rok IV, n. 21—22, 23—24, (Warszawa).

VARIA:

Ratuj tonącego. Wyd. L.M. i K. Oprac. Wacław Serbin. Tablica poglądowa dużego formatu. Cena 1 złoty.

Z L. M. i K.

JAROSŁAW.

Zarząd Okręgu Ligi Morskiej i Kolonialnej w Jarosławiu, mając na względzie propagandę sportów wodnych, jako jeden z punktów programu tegorocznych „DNI MORZA" urządził kajakowy „SPŁYW GWIAŹDZISTY do stolicy C.O.P. Sandomierza". Protektorat nad powyższym spływem objął P. Gen. Wacław Scaevola Wieczorkiewicz Dowódca O.K., zaś Komandorem Spływu mianował Zarząd Przewodniczącego Sekcji Wychowania Wodnego w Okręgu P. ppłk. dypl. Tadeusza Jakubowskiego.

Udział w spływie wzięli członkowie L.M.K. z Oddziałów leżących nad rzeką Sanem i jego dopływami. Stacją wyjazdową był Sanok, skąd wypłynęła w dniu 24. VI. pierwsza ekipa. Trasa spływu została podzieloną na cztery odrębne etapy: od Sanoka do Przemyśla, dalej przez Jarosław do Augustowa k/Sieniawy, następnie do Niska, a stąd do Sandomierza.

W spływie wzięło udział 102 członków z oddziałów: Sanok, Dubiecko, Przemyśl, Jarosław, Lubaczów, Sieniawa, Rzeszów, Łańcut i Nisko na 34 kajakach i 4 łodziach.

Uczestnicy doznali bardzo serdecznego przyjęcia i gościny w Oddziałach, przez które wiodła trasa spływu.

Według przewidzianego programu dnia 28 czerwca o godzinie 18-tej dwustumetrowy sznur kajaków i łodzi defilował na przystani w Sandomierzu — witany serdecznie i owacyjnie przez reprezentację Zarządu Obwodu i Oddziału L.M.K. w Sandomierzu, przedstawicieli miasta i wojska oraz szerokie warstwy społeczeństwa i młodzieży, a z ramienia macierzystego Okręgu LMK Jarosław przez Prezesa p. inż. Tadeusza Broniewskiego i Komandora Spływu.

Dojeżdżający — opaleni na brąz (bo pogoda szczęśliwie dopisała) i uradowani poniesionym wysiłkiem krzepkich ramion, wznieśli witając Sandomierz gromki okrzyk „Wara Niemcom od Gdańska", który był hasłem i zawołaniem na trasie spływu.

Po odegraniu Hymnu Bałtyku przez miejscową orkiestrę wojskową, zawodnicy sformowali się na lądzie a Komandor Spływu P. ppłk. dypl. Tadeusz Jakubowski przemówił do zebranych dziękując z jednej strony za przychylne ustosunkowanie się do Spływu tamt. L.M.K., wojska i całego społeczeństwa, z drugiej zaś zawodnikom za udały wyczyn sportowy i zrozumienie myśli przewodniej spływu. Następnie przemawiali Prezes Obwodu L.M.K. w Sandomierzu i Prezes Okręgu L.M.K. Jarosław.

Życzenie wypowiedziane przez Przedmówców — czczenia „Dni Morza" corocznie przez podobny wyczyn sportowy obiecał stale realizować. Mimo zmęczenia nastrój wśród uczestników panował wyśmienity i zadowolenie było widoczne — co jest najlepszym sprawdzianem, że impreza ta, zapoczątkowana po raz pierwszy na naszym terenie udała się.

W następnym dniu uczestnicy Spływu zwiedzili zabytki pięknego Sandomierza i odjechali grupami do domów.

Z NAWIETRZNEJ BURTY

(dokończenie)

Chorągiew Pomorska organizuje kurs żeglarski w sierpniu nad jeż. Charzykowskim.

Chorągiew Wielkopolska organizuje w r.b. dwa kursy żeglarskie: od 4—25. VII w Wągrowcu i od 4—25. VIII. w Bożkowie.

Chorągiew Poleska urządza w czasie od 1 do 28 sierpnia kurs żeglarski w Horodyszczu.

Chorągiew Lubelska organizuje kurs wodny w sierpniu.

Chorągiew Radomska szkoli harcerzy wodnych na kursie wodnym w Janowcu nad Wisłą od 14 lipca do 31 lipca.

Chorągiew Zagłębiowska urządza koncentrację jednostek wodnych w sierpniu nad jeziorami Augustowskiemi.

Na terenie Centr. Harc. Ośrodka Żegl. w Niesłuczu obozowały w lipcu i korzystały z czajek następujące drużyny: 39 Żegl. z Warszawy, „Błękitna Jedynka" z Wilna, drużyna z Nowo-Wilejki i 9 Wodna z Warszawy.

Na sierpniowy kurs żeglarski w C.H.O.Ż. w Niesłuczu zgłosiło się około 120 harcerzy, przyjętych zostało 80.

XIV rejs „Zawiszy Czarnego" z załogą szkolną złożoną z 30 uczniów Gimnazjum Batorego w Warszawie odbył się w czasie 13—23. VI. Statek odwiedził Kopenhagę, Malmö i Christiansö. Pogoda była dobra.

Rejs „Zawiszy Czarnego" do Anglii został odwołany. Wzamian odbył się w pierwszej połowie lipca rejs po Bałtyku do Kalmaru, Stokholmu i Visby z załogą wyłącznie harcerską. W drugiej połowie lipca zorganizowany zostanie rejs propagandowy dla LMK.

I turnus kursu morskiego liczył przeszło 70 uczestników. Ćwiczenia odbywały się na szalupach „dziesiątkach".

34 skautów rumuńskich przyjętych zostało na II turnus kursu morskiego (17. VII. — 6. VIII).

Jacht „Korsarz" odbył pierwszy rejs tegoroczny z załogą harcerską już w maju od dn. 11 do dn. 21 do Rönne i Kopenhagi. Przebyto 558 mil.

Drugi rejs „Korsarza" odbył się od 26. V. do 1. VI. do Visby. Przebyto 547 mil.

TAKICH WIADOMOŚCI JAKnajwięcej! Oto Dh. Wł. Sękowski, opiekun *13-tej Wodnej Drużyny Harcerskiej* przy Obwodzie L.M.K. Fabryki Broni w Radomiu, pisze nam, że *„dzielna"* 13-tka w dn. 28. VI. ub. m., zorganizowała *„pierwszy krok"* dla zrzeszonych kajakowców.

W spływie wzięło udział dziesięć 2-osob. kajaków i jeden „P.7" z obsadą 3 osób. Trasę dług. 48 km. (od przystani Obwodu L.M.K. w Bartodziejach na rzece Radomce do Wisły) uczestnicy spływu przebyli w 2 godz. 45 min. *„Piętrzące"* się po drodze przeszkody, (zapory wodne przy młynach) w liczbie 10-ciu pokonano b. dzielnie. Pewnie w tym spływie było ze 101% harcerzy z 13-tki? No i pewnie Redakcja „Żeglarza" otrzyma wkrótce parę ładnych zdjęć?

Trzeba wszystkim pokazać te wesołe *„buzie"*, o których pisze nam Drugi Opiekun.

Nadmieniamy też, że 13-tka pobiła rekord w prenumerowaniu „Żeglarza" *(4 egzemplarze)!!*

Czas włóczęg po niebieskich i burych wodach już się rozpoczął. Piszcie więc do nas z *„pokładów"* kajaków i żaglówek.

SZLAKAMI WYPRAW KOLUMBA chcą płynąć amerykańscy studenci wraz ze swym prof. Samuelem Morrisonem z uniw. Harwarda.

Wyprawa ta (wg. Wiecz. Warsz. z dn. 6. VII. 39), w skład której wchodzą prócz prof. S. M. dwaj jego asystenci, czterej studenci i trzej zawodowi żeglarze (dowódcą statku jest b. student uniw. kpt. mar. woj. w rezerwie, Paul Hammond), wypłynąć ma dn. 1. VIII b.r. z Long Island (N. York) na zakupionym specjalnie do tego celu przez przyjaciół uniwersytetu stalowym szkunerze „Capitana" (taką nazwę nosił statek flagowy floty Kolumba).

Wyprawa przygotowana jest b. starannie.

Celem podróży prof. badacza jest opracowanie wypraw Kolumba z punktu widzenia żeglarskiego i z tego punktu widzenia pewna rewizja dotychczasowego stanu badań nad Kolumbem. Dodać wypada, że prawie wszystko, co stworzono o Kolumbie, wyszło spod piór uczonych, którzy o żeglarstwie nie mieli nawet zielonego pojęcia. A więc prof. S. M. chce przeprowadzić pewnego rodzaju wizję lokalną.

Czy doczekają się tak głębokich studiów Vasco da Gama lub Magellan, Cabot — ? A może Beniowski? Myśl zorganizowanych naukowych wypraw morskich została już i w Polsce podjęta przez Towarzystwo Marynistyczne i doczeka się pewnie szybkiej realizacji.

Prof. S. M. od 1936 r. bada życie i czyny Kolumba. W r. 1937 przepływa małym jachtem drogę drugiej wyprawy wielkiego odkrywcy z Ameryki na Antyle. Wrażenia z tej podróży publikuje w książce p.t. „Druga wyprawa Kolumba". W zimie ub. r. stwierdza że w Nawidad powstało pierwsze osiedle Europejczyków na Nowym Lądzie.

Pierwsza wyprawa dzielnego profesora na pokładzie szkunera „Capitana" prowadzić ma szlakiem pierwszej wyprawy Kolumba (przez Azory) do Lizbony. Po przestudiowaniu materiałów znajdujących się w tym mieście „Capitana" odpłynie do ujścia rzeki Rio Tinto, by stąd szlakiem pierwszej wyprawy dotrzeć do wysp Kanaryjskich (przez Porto Santo i Funchal). Stąd, dalej do Trinidadu i środk. Ameryki, szlakami trzeciej i czwartej wyprawy.

PROJEKTOWANY KANAŁ. — Odra - Dunaj ma mieć równie wielkie znaczenie dla Śląska i Niemiec Środkowych, jak kanał Ren, Men, Dunaj dla Bawarii i dla Niemiec Południowo-Zachodnich. Według dotychczasowych projektów kanał Odra - Dunaj ma wychodzić od kanału Adolfa Hitlera (łączącego Gliwice z rzeką Odrą) koło Nowej Wsi (Neudorf) niedaleko Koźla i prowadzić będzie do rzeki Beczwy koło Przerowa — (Prerau) a dalej — doliną rzeki Morawy w kierunku Theben koło Bratislawy (Pressburga). Specjalne doprowadzenie kanałowe ma być zbudowane dla Wiednia co odpowiadałoby całkowicie interesom przemysłu śląskiego. Projektowana droga wodna stworzy nie tylko tanie połączenie komunikacyjne dla przemysłu Śląskiego z krajami połudn.-wschodn. ale stworzy pomost pomiędzy Bałtykiem a morzem Czarnym.

Ciekawe jest że w niemieckich kołach gospodarczych mówi się również o możliwościach połączenia kanału Odra - Dunaj z Wisłą. *(n)*

ESTONIA:

Na łamach *„Scandinavian Shipping Gazette"* znajdujemy wywiad z min. Spraw Gospodarczych Estonii ilustrujący jasno trudności w jakich znalazła się ostatnio żegluga estońska. Przyczynia się do tego subwencyjna *polityka żeglugowa Wielkiej Brytanii.* Znaczna część załóg i statków estońskich pozostaje bez pracy. Znalezienie wyjścia z sytuacji jest konieczne. Prawie cały zagraniczny obrót Estonii odbywa się drogą wodną (94% importu, 99% eksportu). Udział w nim natomiast bandery estońskiej wynosi tylko 37%. Tonaż kraju liczącego 1.134.000 ludności wynosi 177.100 ton.

MARYNARKA WOJENNA

ESTONIA:

W niedługim czasie Rząd estoński ma zamówić w Anglii lub Finlandii kilka okrętów podwodnych.

FINLANDIA:

Flota wojenna Finlandii wzrośnie niebawem o 2 pancerniki obrony wybrzeży a 4000 ton. Nowe pancerniki, których budowę już rozpoczęto będą rozwijały szybkość 15 węzłów, uzbrojone zostaną w 4 działa 250 mm. Rozpoczęto również budowę 3 kontrtorpedowców po 1000 ton.

KRONIKA DUŃSKA

Buty z flądar

Pisaliśmy w n. 5 „Żeglarza“ o ciekawym eksperymencie, jakiego dokonał kpt. **W. Nellemose** — obstalowując z wyprawionej skóry flądry pantofelki dla swojej żony.

Obecnie podajemy nowe szczegóły tego ciekawego zastosowania skór ryb morskich w przemyśle morskim.

2 czerwca kpt. **Nellemose** zaprosił do swej stacji doświadczalnej w Szarlotenlundzie prasę duńską na specjalny pokaz przydatności skór ryb morskich do wyrobów skórniczych. Ciekawie wypadł pokaz piłowania skór rybich — najczęściej używanych. Okazało się mianowicie, że skóra ryb morskich jest dużo silniejsza mimo swej elastyczności. Tajemnica tkwi w układzie włókien, które u zwierząt lądowych idą paralelnie gdy u ryb morskich tworzą gęstą siatkę. Łatwo wyobrazić sobie jak silną musi być ta siatka u ryb głębinowych.

Kpt. **W. Nellemose** twierdzi, że wyrób obuwia i innych wyrobów skórniczych rozpocznie się już w najbliższych tygodniach — a za dwa miesiące będą duńczycy chodzili w butach ze skór fląder, panie *„przystroją swoje piękne rączki“* rękawiczkami z pięknie wyprawionej flądry i innych ryb, a ich *mężowie będą nosili teczki ze skóry rekina.*

Oto wyniki dobrze zorganizowanej naukowej roboty badawczej — -*(Politiken, czerwiec).*

Akwarium morskie

Wspaniały dar otrzymała w tych dniach nauka duńska, dzięki prywatnej inicjatywie *Inż. Knuda Höjgaarda (znanego dyrektora f.y Höjgaard i Schultz, która zaangażowaną w budowie portu w Gdyni i Władysławowie),* który ofiarował swemu krajowi olbrzymie miasto akwariów z betonu i szkła.

W niedługim czasie dzięki *Instytutowi Duńskiemu* w Warszawie, który współpracuje ściśle z Redakcją *„Żeglarza“* będziemy mogli podać bliższe szczegóły o tym zasługującym na naśladownictwo darze.

Nad całym *Akwarium* sprawuje nadzór zarząd, w skład którego wchodzą dyr. Urzędu Rybackiego *Trolle Thomsen, prof. Aug. Krogh i prof. Martin Knudsen. Kierownikiem Akwarium jest syn ofiarodawcy mgr. Mogens Höjgaard.*

Olbrzymie to miasto akwariów, w którym już obecnie znajduje się *ok. 3000 gatunków ryb i roślin* morskich znajduje się również jak stacja kpt. *Nellemose* w Szarlstenlundzie *(Politiken z 24. VI. 39).*

Film

Pisaliśmy niedawno w n. 5 „Żeglarza“ o pokazie prasowym w laboratorium „Falanga“ krótkometrażowego morskiego filmu z życia rybaków duńskich. Film ten ze względu na swe walory artystyczne zasługuje na powtórną wzmiankę.

Film składa się z dwóch zasadniczych części. W pierwszej zapoznajemy się z ciężką pracą rybaków i marynarzy na dalekich morzach, którzy poza samą pracą marynarską i połowem, muszą jeszcze sami oprawiać i konserwować zdobycz złowioną jakże często z największym wysiłkiem i niebezpieczeństwem, zagubieni na długie tygodnie w morzu, pozbawieni świeżego pokarmu i — najluźniejszej nawet łączności ze światem i z własną, daleką ojczyzną.

W takich samych warunkach pracuje i polski rybak na m. Bałtyckim i na Północnym.

Film zapoznaje nas z wszystkimi rodzajami połowów morskich dalekich i przybrzeżnych, z wszystkimi pracami marynarza-rybaka. Urok zgubionego w morzu „dryflera“ i morza dominuje w całym filmie nad zaginioną linią wąskiego horyzontu.

W drugiej części filmu zapoznajemy się z przetworami rybnymi. Ciężki ładunek przywieziony z połowu przemienia się w naszych oczach w skumbrię i matiasy lub sardynki.

Całość bardzo ciekawa, ilustracja muzyczna i zdjęcia doskonałe. Film ten należało by pokazać najszerszej publiczności a specjalnie drużynom harcerskim żeglarskim, klubom, kołom i oddziałom L.M. i K. i szkołom zawodowym, których program przewiduje zaznajomienie się z tymi problemami.

Pod tym tytułem ogłaszamy

WIELKI KONKURS

Wszyscy stający do konkursu otrzymają półroczne lub roczne bezpłatne prenumeraty „żeglarza"

OTO WARUNKI:

I. Każdy, kto zdobędzie czterech prenumeratorów półrocznych — otrzyma jako nagrodę półroczną bezpłatną prenumeratę „Żeglarza".

II. Każdy, kto zdobędzie czterech rocznych prenumeratorów — otrzyma jako nagrodę roczną prenumeratę „Żeglarza".

WSZYSCY NASI CZYTELNICY

STAJĄ DO KONKURSU

W ROKU BIEŻĄCYM MUSIMY MIEĆ 1000 PRENUMERATORÓW

Ponadto, każdy pięćdziesiąty prenumerator, otrzyma cenną premię w postaci książki.

CZAS TRWANIA KONKURSU:

10. V. — 10. IX. 1939 r.

Wydawca **Witold Bublewski** | Redaktor **Władysław Drapella** | Sekretarz Redakcji **Stanisław Ludwig**

Kierownik Administracji **Lesław Ringman**

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Nowogrodzka Nr. 5 m. 6.
Redaktor przyjmuje we wtorki od 17—18, tel. 7.40-43. Sekretarz Redakcji w Kierownictwie Harcerskich Drużyn Żeglarskich, ul. Piusa XI, Nr. 8 m. 2. Tel. 9.83-25 codziennie od 11—13. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca. Ogłoszenia: strona 120 zł. 1/2 - 70 zł., 1/4 - 40 zł., 1/8 - 25 zł. przed tekstem 50% drożej.

Prenumerata roczna zł. 3, półroczna zł., 1.50, za granicą zł. 5.00. Numer pojedyń. 35 gr. Zmiana adresu zł. 0,50. Przekaz rozrachunkowy, Warszawa 1, Nr. 403.

Zakład Drukarski: St. Michalski i Cz. Ociepko, Warszawa, ul. Nowogrodzka Nr. 28. Tel. 9-65-55